

Pawlikowice. Pogrom buraków.

NASZE ŻYCIE

Nr 10/11 Październik — Listopad Rok 1937

Numer podwójny

HASŁO!

Jeżeli chcesz prawdę wiedzieć, a należy tego chcieć;
To winienem ci powiedzieć: lepiej umieć, niźli mieć,
Bo co umiesz, to nie zginie od ciężkiego losu strzał,
A zaś często w złej godzinie los ci weźmie to, coś miał

ADAM ASNYK

TREŚĆ NUMERU:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

R. XIV. Nr 10/11

Październik
Listopad
1 9 3 7.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"
POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. w Pawlikowicach p. Wieliczka.

Konto czekowe: P. K. O. 404.854.

Telefon 54.

Potrzeba powściągliwości i pracy

Założyciel naszych instytucji wychowawczych Ks. Markiewicz kładł wielki nacisk na powściągliwość i na pracę. Przez powściągliwość rozumiał on odmawianie sobie nie tylko rzeczy szkodliwych, grzesznych, bo te są już prawem naturalnym i Przykazaniami Bożymi zabronione, ale także rzeczy, chociaż dozwolonych, jak np. używanie mierne trunków lub tytoniu, w których jednak łatwo jest o nadużycie. Nadużycie zaś wywołuje zawsze skutki szkodliwe. W każdym razie tak nadużywanie jak i samo stałe używanie powodują wydatki, które zbiorowo, jak wykazuje statystyka, idą w grube miliony. Był on zapamiętałym krzewicielem całkowitego powstrzymywania się od tych rzeczy. I czy nie miał racji? Widział kraj biedny i tysiące opuszczonych dzieci z jednej strony, a miliony idące, nawet od niezamożnych, na trunki i tytoń z drugiej strony. Wykazywał on dobitnie szkodliwość nadużywania, lub nawet miernego lecz stałego używania tychże, oraz olbrzymie straty materialne, które gdyby były użyte chociaż w dziesiątej części na biednych, to nędza ich zmniejszyła by się bodaj o połowę. Gdy o grosz tak trudno, tak go jest mało, a on idzie na rzeczy zbyteczne, to dlaczego się nie powściągnąć, nie umartwić, by tym i własny majątek od uszczuplenia ustrzec i drugim w potrzebie przyjść z pomocą! Przecież jesteśmy chrześcijaninami, a wiara ta wymaga od swych wyznawców umartwienia, powściągania się, zaparcia i zarazem miłosierdzia i dobroczynności na rzecz biednych. Kto tego nie czyni, ten jest złym chrześcijaninem, temu jest brak zasadniczej cnoty tj. miłości, na której wszystko zawisło, temu brak umartwienia, bez którego życie chrześcijańskie mało jest warte.

Nic dziwnego, że ks. Markiewicz tak mocno gromił i potępiał nadużywanie a nawet i mierne lecz stałe używanie wyżej wspomnianych rzeczy i tak zachęcał do powściągania się od tychże, która to powściągliwość daje zdrowie i zatrzymuje grosz w kieszeni, który może służyć sobie i drugim na cele pożyteczne, przy tym umoralnia nas i podnosi duchowo a nawet fizycznie. Widać, że jest

to prawdą, skoro harcerstwo i inne stowarzyszenia sportowe, czy nawet na pół-wojskowe cnoty te wprowadziły w życie i surowo ich przestrzegają. Sprawa ta i teraz jest bardzo aktualną, do niej nawoływać i ją propagować powinno by się ciągle. Gdyby się naród zdobył na poprawę pod tym względem, to podniósł by sztandar swego wyrobienia i moralności wysoko. Stałby się narodem silnym, zdrowym, a nawet zamożnym i górował by nad innymi narodami!"

Ks. Markiewicz, w powściągliwości, w umartwieniu był niezwykłym, był on także niezwykłym i w pracy. Pracował ustawicznie, przynajmniej za trzech.

Wychowanków swych uczył pracy na roli i w różnych rzemiosłach, chciał, by pracą byt swój i przyszłość zabezpieczyli, by byli społeczeństwu pożyteczni. Praca, jak uczył ks. Markiewicz, powinna się odbywać z pobudek wyższych, trzeba pracować, by tym wypełnić wolę Bożą, trzeba pracować sumiennie i ochotnie, taka praca będzie się cieszyć błogosławieństwem Bożym doczesnym i nagrodą wieczną. Lenistwo jest matką wszelkiego zła.

„Kto nie chce pracować niech nie je" napomina Apostoł. Przy pracy trzeba pamiętać, że Bóg widzi, trzeba się strzec oszustwa i niedokładności. Pracą człowiek i naród się wzbogaca. Wielu z Polaków zwłaszcza pseudo-inteligentów pracy się wstydzi, potrzebuje prawie na każdym kroku służącego. Wykazuje to głupią dumę i lenistwo: tacy nigdy się nie dorobią. Amerykanie słyną z tego, że nigdy pracy się nie wstydzą. Właściciel dużej kamienicy sam robi w tejże porządek, sam zrana wychodzi z miotłą, by umieść schody i chodnik. Wielka liczba studentów w Ameryce jedynie pracą fizyczną, poza szkołą, opłaca swą naukę. Tam każdy pan jest robotnikiem, za to niemal każdy robotnik jest panem, chociaż niekoniecznie w równej mierze co do posiadania majątku. Wielu z milionerów rozpoczęło swą fortunę od sprzedawania gazet (Rockefeler) lub od czyszczenia butów. Wytrwałość w pracy, oszczędzanie przez powściągliwość w życiu zrobiły ich bogaczami.

Na zaletach tych zbywa bardzo naszemu narodowi, przynajmnej wśród wyższej sfery. Zakłady nasze są szkołą powściągliwości i pracy. Z cnotami tymi łatwiej przychodzi naszej młodzieży spotkać się później z trudnościami życia, jest ona urobioną i zahartowaną w wysokim stopniu. Jeśli cnoty te zapanują w narodzie, to zrobią go silnym i wytrwałym, zmniejszą biedę, spowodują dobrobyt. Per aspera ad astra! Przez trud do wielkości.





Pawlikowice. Grupa wychowanków z wychowawcami.

Jak wyrobić Samodzielność w Wychowankach

Samodzielność to naczelne hasło dzisiejszego wychowania. Wychowanie nie tylko jest konieczne, ale staje się zarazem najważniejszym czynnikiem, rozstrzygającym o przyszłości dziecka. Wystarczy choćby pobieżnie wglądnąć w dobra, jakie przynosi ono człowiekowi, by uznać je za jedno z pierwszorzędnych zagadnień, którego rozwiązaniu warto poświęcić najlepsze siły.

Nabycie potrzebnej wiedzy i wyrobienie charakteru, zdrowie i powodzenie, zbawienny wpływ na drugich oraz służba ojczyźnie i społeczeństwu — wszystko to podkreśla ważność wychowania. Ono decyduje głównie, jaką będzie jednostka, a konsekwentnie rodzina, społeczeństwo i państwo.

To doniosłe znaczenie wychowania, które wpływ swój rozciąga na całą doczesność i wieczność, jest zarazem najbardziej przekonywującym dowodem, że rola wychowawcy jest niesłychanie szczytna i ważna i że nie można jej powierzyć komukolwiek. Dlatego słusznie powiedział *Ks. Markiewicz:* „aby dobrze wychowywać, trzeba mieć dane do tego; kto chce w drugich wyrabiać samodzielność, musi sam ją przedtem posiadać".

Zadaniem więc wychowania jest przystosować wychowanka do życia praktycznego.

Dla życia praktycznego nie wystarcza wyuczenie się jakiegoś rzemiosła czy sztuki. Niewiadomo bowiem w jakich warunkach będzie żyło dziecko, a choćby warunki te były dobre, to przecież życie ma tyle wymagań, do których dziecko będzie się musiało dostosować i nagiąć.

Wychowawca musi rozumieć swoje zadanie i musi wychowankiem tak pokierować, aby kiedyś nie należał do grona tych pedagogów, którzy ze smutkiem powiadają: „Oto mój wychowanek mimo tak staran nych zabiegów i tylu bogobojnych przykładów zeszedł na manowce". *Dlaczegóż?* Odebrał wychowanie skrajne - jednostronne, nie poznał wszystkich przejawów życia, nie nauczył się żyć.

Celem wychowania: nauczyć dziecko żyć i to jest wychowanie praktyczne.

Którymi drogami dojść do tego? *Przez charakter.* O charakterze decydują: siła woli, jasność sądu, subtelność i uczuciowość. Wychowawca zaś musi pobudzić wychowanka do wykształcenia tych sił i musi znać drogi prowadzące do wykształcenia charakteru, musi pamiętać, że wola potrzebuje czynu, aby się rozwinąć; wolności ruchu, aby być silną. Zatem czyn swobodny, własne doświadczenie i różnorodność stosunków realnych, uczynią dziecko samodzielnym, rozumnym obywatelem w przyszłości.

W wychowaniu sierót, biednych przede wszystkim, a może nawet jedynie trzeba baczyć na wykształcenie samodzielności. Sierota w przyszłym życiu

skazana jest na radzenie sobie bez czyjejś pomocy. Wychowawca ma tu do spełnienia zadanie trudne. Musi przede wszystkim sam znać życie, a następnie poznać duszę dziecka, oraz drogi wiodące do zawładnięcia nią bez jej zniweczenia, lecz tylko w celu uszlachetnienia".

We wszystkich zakładach sierocych wychowawcy powinni zdawać sobie sprawę z tego, czy dziecko będzie miało korzyść praktyczną z pobieranej nauki, czy czasem nie uczy się próżniactwa, a czy uczy się pracy wszechstronnej i samodzielnej.

Jak się do tego zabrać, by nauczyć dziecko samodzielnej pracy? Jak wiadomo dziecko nie rodzi się z umiejętnością wykonywania wszelkiej pracy. Trzeba je stopniowo wdrażać; a im będzie starsze, tym odpowiedniejsze polecać mu obowiązki, które wymagają namysłu, a przeto ćwiczą w samodzielności, gdy jest niezaradne, wtedy trzeba dawać mu do spełnienia czynności drobne, choćby najmniejsze, ale, by je samo wykonywało, rzeczy trudne podzielić trzeba na części np. teraz zrób to, a potem się zgłoś, to ci powiem co masz dalej zrobić. I tak wkońcu praca na pozór trudna, stanie się łatwą.

Dr Pabst twierdzi, iż roboty ręczne kształcą inicjatywę i uwagę, przyczyniają się do rozwoju inteligencji, wymagają jasnej decyzji, opanowania siebie samego, równowagi charakteru, oraz przystosowania woli do warunków życia.

Lecz wychowawca musi pamiętać, że praca ręczna jest wtedy tylko kształcąca, gdy pobudza zdolność wypowiedzenia się, tkwiącą w duszy dziecięcej, do ścisłej reprodukcji tego, czego dziecko samorzutnie, z własnego zainteresowania doznaje np.: co widzi, myśli i czuje. Ponadto praca ta nie może być jednostronną, musi być najróżnorodniejsza", a wykonywana w najrozmaitszych okolicznościach mniej, czy więcej dogodnych.

Można by tu pójść za przykładem Wiednia, gdzie w pracowniach dla dzieci zatrudniają młodzież wszelkiego rodzaju robotami. Prace te ćwiczą zdolność spostrzegawczą i zręczność oraz zaznajamiają dzieci z różnymi dziedzinami robót ręcznych, bardzo przydatnych w późniejszym ich życiu. Za przedmioty wykończone dzieci otrzymują małe wynagrodzenie. Słowem pracownie te mają wielkie zalety co do wyrabiania samodzielności i do pobudzania ambicji.

Przykładem tutaj mogą być także Zakłady dla sierót Ks. Bronisława Markiewicza. Tutaj postanowiono, że młodzież musi przejść przez znaczną skalę zajęć. Wychowanek kształcący się na rzemieślnika, czy też jeszcze uczący się w szkole powszechnej, wykonuje co pewien czas różne zajęcia. Musi zamiatać, myć naczynia, stróżować w nocy, musi pomagać chleb piec, obiad ugotować, posiać, posadzić i zebrać z pola plony. A przy tym utrzymać porządek przy sobie, posłać łóżko, napchać siennik, przynieść so-

bie wody do mycia, naprawić ubranie i t. d. Oczywiście to zajęcia uboczne, ale to zajęcia, z których składa się całe życie.

Wychowanek poznaje trud, uczy się ponadto cenić pracę ludzką, w pracy widzi nie niewolę, ale drogę prowadzącą do wyżyn.

rodna kształci człowieka pod względem cielesnym i duchowym, daje mu zręczność, poczucie godności osobistej. Lecz człowiek żyje w społeczeństwie. Dziecko musi poznać życie społeczne i to życie nie w miniaturze lecz prawdziwe — *przeżyć.*

Młodzież należy więc zorga-



Pawlikowice. W dżungli końskiego zębu.

W systemie tym drzemią jednak niebezpieczeństwa. Wszystkie te przejawy życia mogą stać się okazją próżnowania i dyletantyzmu. Wychowawca musi ze szczególną pieczołowitością zapobiegać próżnowaniu, dbać, by zajęcia nie były wykonywane „mniej więcej“, ale solidnie, punktualnie. Wychowanek musi je wykonywać w poczuciu obowiązku, z radością, że tworzy nową wartość, będącą zadatkiem jego przyszłego życia.

Roboty ręczne, praca różno-

nizować na wzór społeczeństwa. Organizacja winna się składać z poszczególnych komórek wykonywających różne czynności — te zaś razem wzięte mają tworzyć harmonijną całość.

Należy więc zakładać kółka: amatorskie, śpiewackie, gimnastyczne lub inne organizacje jak „Stowarzyszenie Młodzieży“ harcerstwo, „Stowarzyszenie Eucharystyczne i kółka: *Redaktorskie*, *Literackie*, *S. K. O.* itd. W takich organizacjach wszystko polega na samodziel-

ności, tylko dzieci się muszą do niej zaprawić.

Przyjrzyjmy się pracy w danym Stowarzyszeniu. Prezes ma największe zadanie. Na jego głowie spoczywa istnienie i rozwój związku. Zwołuje zebrania Zarządu, układają plan zebrania. Pierwszy zabiera głos i kieruje całym zebraniem. Zastępca jego, oprócz czynności vice-prezesa, ma niekiedy jeszcze pod swoim nadzorem bibliotekę, która również potrzebuje dużo pracy. Inni członkowie wydziału jak sekretarz, gospodarz i zastępca także spełniają swoje zadania, którym muszą odpowiedzieć, a członkowie należący do związku, biorą czynny udział w dyskusjach, deklamacjach, odczytach, znakomicie się wyrabiając.

Wreszcie powinno się powierzać wychowankom np. jednemu szafarnię, drugiemu spiżarkę, a innym znowu miesięczne dyżury w sypialniach, umywalniach, utrzymywanie i wydawanie szczotek, mydła i t. d. Jednym słowem, tak należy wyznaczać obowiązki, by wychowanek miał możność do samodzielnej pracy, żeby coś i od siebie w nią włożył. Wychowanek, który ma zleconą jakąś pracę, musi się zastanawiać i robić sobie plan z danego zajęcia, chcąc je dobrze wykonać.

Naturalnie początkującym przychodzi to z trudnością. Musi nie tylko pilnować powierzonych mu obowiązków, ale i sumiennie je spełniać, sprawiedliwie wydawać czy to ubrania, czy przybory szkolne, czy nawet jakie inne drobiazgi; aby miał zadowolenie wewnętrzne i nie spotkała go nagana od przełożonego — wychowawcy, czy nawet zarzuty od kolegów. Taki więc chłopiec naprawdę cały się odda swemu obowiązkowi, będzie czuwał, upominał innych, wytykał im braki, będzie się namyślał jak tam zrobić, lub jak w tych razach postąpić, a kiedy mu się uda, będzie zadowolony ze swej pracy. Również i wychowawca go nie pominie, pochwali go, a to dla wychowanka będzie jeszcze większym bodźcem do spełnienia nawet trudniejszych obowiązków.

W Zakładach Ks. *Markiewicza* praktykowane jest wysyłanie młodzieży za zakupnem towaru, chłopcy załatwiają sprawy handlowe, wykupują przesyłki pocztowe i kolejowe, a nawet przeprowadzają niekiedy większe tranzakcje gotówkowe, a zawsze sumiennie ze zrozumieniem odpowiedzialności i godności osobistej. Tutaj ma dobrą okazję do samodzielnego myślenia i zaprawiania się na przyszłość. Uczy się przeto obchodzić z ludźmi, co mu się przydać może w przyszłym życiu.

Należycie zaprawiają się również wychowankowie w samodzielności, dalej w organizacjach samorządowych, rodzinkowych i wojskowo-harcerskich.

Dobrze jest, jeżeli wychowawca ma zamiar urządzić przechadzkę lub wycieczkę, zwoła chłopców na omówienie tej sprawy. Naturalnie nie powinien narzucać im swojego zdania, ale tak kierować sprawą, by dzieci same przy jego pomocy przeprowadziły plan wycie-

czki, wyznaczyły miejsce i umówiły się jak mają się zachować po drodze i na oznaczonym miejscu. Wychowawca tak musi naprowadzać, aby stało się po jego myśli. Tu również jest droga do wyrobienia samodzielności. Dzieci będą się cieszyły, a choćby które w drodze spotkała jaka przykrość, zniesie ją cierpliwie — bo sam się godził na wycieczkę. Sami wychowankowie będą przestrzegać naznaczonych prze siebie przepisów, jedni drugich będą upominać, by szli w porządku. Gdyby później który nie zechciał iść, koledzy znowu „trzymają" go za „słowo" a przecież zgodziłeś się na posiedzeniu... Ten nie chcąc się kompromitować wobec swoich przyjaciół, pomimo dolegliwości, jakie go nawiedziły, na drugi dzień idzie razem ze wszystkimi.

Można podobne posiedzenia urządzać w sprawie dyżurów lub zajęć domowych. Dzieci to bardzo lubią, przez to zaprawiają się do samodzielnej myśli i do wybrnięcia z każdej sytuacji.

Ciągle mamy pamiętać i mieć na uwadze, że wychowujemy dzieci nie dla siebie, że nie będziemy zawsze stali za ich plecami, by im podpowiedzieć co czynić należy, a czego się wystrzegać.

Iza Moszczeńska pisze, iż celem naszym nie jest wychowanie grzecznego, lecz zacnego człowieka. Wszystkie zalety, które w nim chcemy widzieć w przyszłości, winny się już w zaraniu życia rozwijać, gdyż tylko w takim razie staną się dla niego drugą naturą, zapuszczą tak głęboko korzenie, że już ich późniejsze złe wpływy nie wyrwą, a nawet nie osłabią.

Jeżeli wychowankowie, tak każdego dnia będą się zaprawiać do życia samodzielnego, sądzę, że w przyszłości żadne z nich nie będzie włóczęgą, próżniakiem, potrafią zabrać się do pracy, bo nie pierwszy raz ją widzą, będą ją kochać, a nawet innych do niej zachęcać. Prócz tego, będą się umieli znaleźć między ludźmi i samodzielnie pracować.

Wychowanie to sztuka o tyle trudna, że trzeba rzeźbić w przeróżnym materiale, niekiedy tak twardym, że prawie nie chce się go imać narzędzie, to znowu tak kruchym, że wymaga uwagi, by nie uderzyć za silnie, bo dzieło rozsypie się w proch.

W obu wypadkach wykuć trzeba posąg, arcydzieło, na obraz Boga. Zadanie ponad siły. Przede wszystkim więc starać się, trzeba poznać materiał — wychowanków. Poznać ich, wyczuć najsłabsze strony, by tam podeprzeć, a z twardych ciosać rzeźbę człowieka samodzielnego.

Pierwszym zaś zadaniem jest „wejść" między wychowanków, stać się ich doradcą, przyjacielem, rozumiejącym niedolę i troski. A więc zdobyć klucz do ich duszy, by tam wyczytać linię postępowania z wychowankiem.

Ks. Ed. Tomza

JUTRO!

Jak błysk piorunów, co podłość druzgocą,
Jako huragan. który chwasty rwie, —
Powstaniem, zbrojni i wiarą i mocą,
I za broń chwycim po zbyt długim śnie.

Dość już spłynęło krwi niewinnych braci
I dość sierocych, wylanych już łez.
Oto się w chwałę naród nasz zbogaci,
Że pierwszy powstał — złu położyć kres,

Jako stal krzepkie, w góre wznosim ręce:
W jednej — krzyż święty, w drugiej — błyska miecz.
Silni powstajem po wiekowej męce,
Wszystko, co nędzne, odrzucamy precz.

Słychać, jak huczą o bruk nasze kroki...
Wrogom zagładę zwiastuje ten huk.
Nadziei pełni. w świat idziem szeroki.
Cóż się nam oprze, gdy z nami jest Bóg!

Wielkość z krwi naszej i ofiar powstanie,
Kraj się odrodzi przez walkę i ból. —
Wtedy rozpocznie święte panowanie
Nad Wielką Polską — — Chrystus Król.

Wiesław Pyrek.

Zachód słońca

Stach — Staszek — Stasiu! Wyleź no z budy, jeszcze czegoś podobnego nie widziałeś w życiu. Patrz! jak słońce ślicznie... cudownie... zachodzi. To nie codzienny zachód.

Krągła, matowo - czerwona bryła słoneczna spływa powoli. majestatycznie ku krańcom horyzontu. Ziemia pogrążona jest w niezmąconym spokoju. Niebo niepokalanie czyste, zasnute od zachodu złoto-seledynowymi opończami świetlistymi, przechodzącymi ku wschodowi w lila fioletową barwę, odcinającą

się wyraźnie od ciemnego granatu lasów i soczystej zieleni pól.

Nad słońcem, o jakieś 50 metrów unosi się chmurka, ułożona pierzasto w wachlarz-olbrzym. Oświetlają ją purpurowo-złote promienie zachodzącego słońca.

Te padają na całą przestrzeń chmurki, płynącej coraz wyżej, coraz szerzej, coraz jaśniej, sięgającej już swymi skrzydłami półkola widnokręgu, wypełniając jej powierzchnię, zwiększającą się z każdą chwilką, cudowną grą kolorów. Dziwna, tajemnicza jaśń, wcale nie słoneczna, okala to całe zjawisko. Roje migotliwych i s t n i e ń, gwiazdek, pęków promienistych złota — światła wypełniły przestrzeń półkulistą. Ziemia ożyła. Jej dojrzewające łany śpiewać zaczęły pieśń uwielbienia, lasy pieśń potęgi, góry dalekie pieśń majestatu i tajemnicy, sady, przeciążone trudem dźwigania nader obfitego owocu, pieśń poddania, i ekstatycznej uległości. Natura żywa przycichła w zachwycie dla piękna i potęgi natury martwej.

W pewnym momencie promienie s ł o ń c a przestrzeliły wznoszący się ustawicznie wachlarz i potworzyły niebosiężne linie promieniste, gasnące gdzieś w bezdennej próżni błękitu.



Pawlikowice. Po ciężkiej orce.

Gdzież wy, świetlani posłańcy, dążycie?! to bezkres?! to nieskończoność?!

Po co?! Do kogo?! Zostańcie z nami szczęśliwi i uszczęśliwiający!!!

— Usłyszeli!!!

...Potęgą swoją i pięknem od-

powiadają: „Dążymy do Boga!“

„Wielbimy Boga!“

„Hołd składamy Bogu“!!!

A gdzie jest król stworzenia — człowiek?!!!

Szymek i Stach w niemym zachwycie stoją... podziwiają... ulatują myślą, duchem w dal... wzwyż... tam... daleko... może modlą się. Dusze ich są w pięknym zachwycie oczu.

I staliby tak godzinami, gdyby nie powiew chłodny zmierzchowego wiatru. Ten, wieczny psotnik musi zamącić spokój natury, to spłoszyć złote marzenie.

Szymciu, dziękuję ci serdecznie, żeś mnie zawołał. Mówią prawie wszyscy, że dziś nie ma cudów. Nieprawda! A to, cośmy oglądali czy to nie cud prawdziwy? Tak człowieka podniosło, błogością i spokojem napełniło. Chciałbym pozostawać w takim stanie przez całą wieczność. Cóż dopiero będzie — gdy cud cudów — Boga zobaczymy... *W. P.*

Ciekawość jako problem wychowawczy

Z wyrazem „ciekawość“ często spotykamy się w życiu. Znany on jest ludziom, zarówno wykształconym jak i ludziom prostym. Trzeba jednak przyznać, że panuje dość wielka rozbieżność pomiędzy ludźmi, co do rozumienia znaczenia tego wyrazu. Bo podczas, gdy inteligentny i świadomy swego celu wychowawca uważa ją za jedną z najważniejszych dyspozycji człowieka i odpowiednio kształci ją u dzieci, to człowiek prosty zgoła nie rozumie jej znaczenia, owszem uważa objawy ciekawości za coś ujemnego i o ile uzewnętrznia się ona w formie zbyt naiwnej, uważa nawet za stosowne zganić ją u dziecka, strasząc je przy tej okazji piekłem, do którego pierwszym stopniem jest według niego właśnie ciekawość. Z naszego punktu widzenia takie postępowanie byłoby w wysokim stopniu niepedagogiczne, a nawet szkodliwe dla dziecka. Dlatego zajmiemy się tym pierwszym jej znaczeniem i podkreślimy jej pozytywne znaczenie w wychowaniu młodzieży.

Najprzód odpowiemy co to jest w ogóle ciekawość i jak ona objawia się u dzieci.

Ciekawość według Wł. Witwickiego jest to potrzeba zbliżenia się do jakiejś rzeczy celem jej poznania. Zależnie od tego czy celem jest sam przedmiot, czy też jego poznanie rozróżnimy ciekawość życiową, dla której bezpośrednim motywem jest zaspokojenie potrzeb natury biologicznej, i ciekawość intelektualna, tj. dążność do poznania, zbadania, zrozumienia pewnych zjawisk, przedmiotów i to, jakby się wyraził St. Baley „bezinteresowne zainteresowanie“. Ponieważ to właśnie bezinteresowne zainteresowanie, a

nie inne, stanowi pierwszy i konieczny stopień rozwoju intelektualnego człowieka, dlatego tą tylko ciekawością, czyli dążeniem do wiedzy zajmę się w moim dalszym rozważaniu.

O ile chodzi o ciekawość u dzieci, to objawia się ona w różnym wieku, w rozmaity sposób. I tak, gdy weźniemy pod uwagę

ka pomocy u starszych w rozwiązywaniu najprostszych zagadnień życia.

Według Decrolyego pytania te występują w pewnym porządku. Najprzód dziecko się pyta „Co to jest?" i zadowala się samą nazwą, bez bliższych wyjaśnień. Następnie pyta „Na co to?" i „Kto to zrobił?" a więc



Pawlikowice. Nasi stolarze zaopiekowali się biedną Europą

dziecko jednoroczne — niemowlę, to ono już objawia pewne zainteresowanie się wyglądem zewnętrznym przedmiotów, ich ruchami, a nawet ruchami własnego ciała, co się objawia w częstym ich powtarzaniu. Drugim okresem, to okres pytań. Dziecko poprostu zamęcza rodziców i starszych pytaniami. Świat wrażeń jest dla niego tak olbrzymim, że niepodobna je pomieścić w słabo jeszcze rozwiniętej wyobraźni dziecięcej. Dlatego dziecko szu-

dziecko już doszukuje się sprawcy dzieła. I wreszcie „Dlaczego"? „Na co?" — „Jak się to robi?" Okres ten jest niezmiernie ważny pod względem wychowawczym. Pytania te to pierwsza i najważniejsza bodaj szkoła dla dziecka. Dlatego lekceważenie i zbywanie pytań byle czym, albo też okłamywanie dziecka jest błędem w wychowaniu. Nie powinno się dziecka pocieszać tym, że z wiekiem wszystkiego się dowie. Czas bowiem jest zbyt krótkim, a ży-

cie zbyt skomplikowane, aby można było je opanować w jakimś krótkim odstępie czasu. Zresztą niezaspokojenie ciekawości dziecka stwarza w nim pewien stan przykry, który, o ile nie zostanie usunięty przez odwrócenie uwagi na inny przedmiot zainteresowania, może zostawić w duszy dziecka przykry uraz. Dziecko zbywane raz i drugi traci zaufanie, a co gorsza staje się obojętnym na wszystko.

Dzieci nie otrzymawszy odpowiedzi żadnej, albo też otrzymawszy odpowiedź niezadawalającą, tłumaczą sobie często same pewne zjawiska. Jak jednak naiwnym i z gruntu fałszywym jest czasem to ich tłumaczenie — może poświadczyć następujący przykład, który mi się udało zauważyć u dziecka. Na ulicy stanął wóz strażacki wraz z obsługą. Wkrótce trotuary i ulica zapełniły się ludźmi ciekawymi przyczyn postoju wozu strażackiego. Gdy jednak nie zauważono nigdzie pożaru, zaczęto się powoli rozchodzić, tłumacząc sobie to zjawisko zwyczajnym defektem motoru. Pośród licznego zbiorowiska został jeden starszy mężczyzna wraz z małym może 3-letnim dzieckiem i ja. Ale ja miast na wóz, zwróciłem baczną uwagę na zachowanie się dziecka, które więcej zdawało się interesować opisanym zjawiskiem aniżeli inni. „Tatusiu, a dlaczego ten strażak ma złotą czapkę, a ten srebrną?“ Nie otrzymawszy odpowiedzi pyta dalej: Tatusiu, a ten nie jedzie na samochodzie?“ Tu wskazało na boku stojącego strażaka. I wreszcie, co mnie najwięcej zastanowiło to to: „Tatusiu ten strażak nie ma ręki?“—A widząc że tatuś w ogóle obojętnie słucha pytań, zaczęło samo sobie tłumaczyć: „Tak ten jeden nie ma ręki. Tamten ma dwie ręce, a ten nie ma jednej ręki“. Sam się zdziwiłem takim przypuszczeniem dziecka i zacząłem szukać tego bez ręki, niestety przekonałem się, że to tylko złudzenie możliwe w oczach dziecka, bo strażak przez nie obserwowany, stał przy wozie i trzymał tylko rękę jedną w kieszeni. Dziecko nie mogło sobie wytłumaczyć tego, stąd fałszywy sąd.

W tym samym okresie t. j. mniej —więcej od 3-go do 7-go roku życia objawia się u dzieci skłonność do badania, manipulowania. Nie wystarcza już dziecku sam wygląd zewnętrzny przedmiotów; stara się ono rzecz dokładnie zbadać. Nęci je każda sprężynka, każda śrubka a zwłaszcza tajemnicze dla niego wnętrze. Przypominam sobie z jakim zainteresowaniem brałem się do rozbierania harmonijki ustnej, pomimo zakazów, abym nie psuł. Trudno, musiałem zbadać tajemnice. Chodziło przede wszystkim o wykrycie źródła głosu.

Następnym okresem (od 7-go do 12 roku życia) jest okres objektywizacji ciekawości. Dziecko interesuje się już nietylko samą czynnością, ale stara się jej nadać jakiś zewnętrzny wyraz, pragnie osiągnąć jakiś skutek, jakiś wytwór tej czynności.

I wreszcie ostatnim okresem — (od 12—18 r.) jest okres za-

interesowań w dziedzinie etyki i ideałów społecznych. Widzimy więc, że skłonność ta objawia się w różnej formie, zależnie od wieku i rozwoju intelektualnego dziecka.

W wieku starszym ciekawość objawia się w formie jak gdyby już zorganizowanej. Osobę dorosłą przestaje już dziwić cały świat, a przynajmniej nie interesuje ją wszystko do tego stopnia, jak dziecko. Uwaga ich więcej się skupia, poglądy i zainteresowania skierowywane są w pewnym ograniczonym kierunku. Stąd możliwa już jest u starszych pewna specjalizacja i pogłębianie wiadomości ściśle fachowych. Podczas, gdy dziecko trudno zmusić do ćwiczeń w pewnym, ograniczonym kierunku. Stąd ważną jest rzeczą, aby każdą rzecz, każdy przedmiot nauki dzieciom uprzyjemnić, urozmaicić, uczynić jakby ponętą dla bujnej fantazji i wyobraźni dziecięcej. Dziecko z przyjemnością słucha całymi godzinami opowiadań i bajek. Każda rzecz tajemnicza, ukryta, niewyjaśniona jest bodźcem dociekań dziecięcych. I chociaż często bodziec ten, jak wogóle odkrywanie każdej nowej tajemnicy, jest połączone z pewnymi objawami lęku, dziecko się z tym zbytnio nie liczy — owszem pewna trudność, strach a nawet zakaz starszych raczej potęguje ten impuls. Dlatego zbytnie przestrzeganie i zakazywania dzieciom pewnych rzeczy jest niedobre z tego względu, że rzecz zakazana jest zazwyczaj więcej pożądana. Ciekawym przykładem na to może być bohater jednej z bajek Eismonda. Ojciec naszego bohatera zbudował balon w rodzaju rakiety, który za pociśnięciem guziczka miał lotem strzały lecieć na księżyc.



Pawlikowice. Jesienna defilada kaczek.

Jednego dnia, gdy już wszystko było gotowe do odjazdu, kazał chłopcu pilnować przez chwilę aparatu, aby nikt nie śmiał się do niego zbliżać. Nie-

stety chłopiec sam uległ tej pokusie. Z podsłuchanej rozmowy ojca z kapitanem dowiedział się wszystkich szczegółów funkcjonowania aparatu. Początkowo chciał tylko zaglądnąć do środka. Ale gdy drzwi po dłuższym manipulowaniu się otwarły, ciekawość chłopca wzrosła do tego stopnia, że zapomniał całkiem o zakazie ojca, — wlazł do środka i zaczął szukać owego cudownego guziczka, którego pociśnięcie miało decydować o jeździe. Tymczasem drzwiczki się zatrzasły. Chłopiec krzyczy w środku, daremnie, a zawadziwszy niechcąco o ten właśnie cudowny guziczek spowodował lot w krainę cudów, na księżyc.

To cośmy zaobserwowali w tej bajce, obserwujemy codziennie w życiu, wśród młodzieży. Dziecko, jak i wogóle każdy człowiek, aby móc wydać jakiś sąd o danej rzeczy — musi ją zbadać. Zakaz jest tylko chwilową przeszkodą, która jakkolwiek sam akt badania przedłuża, to w żadnym razie nie osłabia impulsu — owszem potęguje go. Dziecko musi się najprzód sparzyć, a przynajmniej rozumieć ból sparzenia, zanim bedzie roztropnie unikało gorących rzeczy. Dlatego nie ma się co dziwić ciekawości, skoro zważymy, że ona właśnie jest drogą do prawdziwej roztropności. Bo czyż nieroztropnością nazwiemy ciekawość badacza, któremu przez całe życie udało się wykryć, choćby jeden nowy pierwiastek chemiczny. Szaleńcem nazwiemy tego, który dla dobra ludzkości pada trupem przy analizie, czy syntezie gazów? Nie. Taka ciekawość nie nazywa się szaleństwem ani nieroztropnością, ale cnotą. Takiej tylko ciekawości zawdzięczamy dzisiejszą naszą wiedzę, odkrycia i wynalazki. Z drugiej strony brak tej ciekawości wogóle, zwłaszcza w wieku młodzieńczym, pozwala nam przypuszczać, że takie dziecko musi przyjąć w przyszłości, prawie z konieczności nieco przykrzejszą nazwę od „szaleńca" tracącego zdrowie, pieniądze i sławę niekiedy dla swej ciekawości, bo niemiłą nazwę „idioty". Skoro tak jest, skoro tylko od tego impulsu zależy nasza przyszła wiedza i inteligencja, powinniśmy go kształcić i owszem pobudzać u dzieci. Z drugiej strony, ponieważ od przedmiotu zainteresowania zależy kierunek, jakość i znaczenie tego impulsu, należy wychowawcom baczną zwrócić na to uwagę, aby dostarczyć dzieciom przedmiotu, rzeczywiście godnego zainteresowania. Przedmiotu, któryby nie tylko zaspokajał sam impuls, ale żeby miał na tyle siły pociągającej, aby mógł wszelkie zboczenia tego impulsu sublimować t. j. skierowywać na drogę wychowawczo i społecznie pożądaną. *St. N.*

Lwów dnia 8. IV. 1936 r.

Stróże owoców

Nierzadko zwiedzający Zakład goście wprawiają w kłopot oprowadzającego swymi niewinno wścibskimi pytaniami.

„Bardzo przepraszam, pozwolę postawić pytanie co do jednej rzeczy“.

Proszę bardzo.

Ciekaw jestem, kto w Zakładzie pilnuje owoców, że tak pięknie dotrzymują się do swego czasu. Czy wogóle pilnuje się?

Owszem, pilnują chłopcy. Przed obcymi to coś upilnują, ale przed swymi amatorami, jakkolwiek takich niewielu jest, to im trudno. Sprawdza się przysłowie: domowego złodzieja nie ustrzeżesz się, ani wyśledzisz.

A ilu się chłopców wyznacza do jednego sadu.

Dwóch.

A czemu to po dwóch, a nie po więcej, przecieżby im weselej było, a wnocy dużo śmielej.

O tak, bardzo wesoło by im było. Jabłka co najlepsze stałyby się ich wyłączną własnością. Nie można sobie nawet pomyśleć, by siedząc pod jabłonią nie zjedli i nie spróbowali jej owoców. Zresztą całkiem niepotrzebnie by tyle rąk młodych próżnowało, a inni, w polu, musieliby za nich i za siebie robić.

W polu chłopcy też pracują?

Owszem. Wszystko robimy sami. Najmować nie mamy za co, a powtóre naszym celem jest: wychowywać w „Powściągliwości i Pracy“.

Proszę — wychowywać w „Powściągliwości i Pracy“...... Piękna maksyma... Proszę...

I na dzisiejsze czasy jedyna.

— U nas wszyscy pracować muszą, od najmniejszego począwszy, a na najstarszym skończywszy, choćby Ks. Dyrektorze.

I tak zawsze bez żadnego odpoczynku?

Owszem, są odpoczynki — o ile ktoś zachoruje.

Mam na myśli urlopy!

Urlopów nie znamy, choć przydałyby się i moim zdaniem są one konieczne naszym księżom Dyrektorom i prefektom.

— — — — — — — — — —

Wracam do naszych stróżów. Kto oni! Jakie ich obowiązki i uprawnienia? Ich życie? To ostatnie na szczególniejszą zasługuje uwagę. Pełne rozmachu, romantycznego czaru, czasem tragiczne, a najczęściej nie brak mu humoru. Jedyne w swoim rodzaju warunki dla młodych a bujnych natur. I takich na stróżów wybierają.

Aby zostać stróżem sadu, musi się posiadać spryt i odwagę, ważącą się na wszelkie hazardy, choćby najbardziej niebezpieczne i niezgorszą siłę w członkach. Nadto musi to być mąż zaufania.

I dlatego nie można zwać dozorowania nad bezpieczeństwem owoców inaczej jak stanowiskiem, lub urzędem, a nigdy „zajęciem“. „Zajęcie“ dostaje się w kuchni, do roznoszenia potraw, do mycia

naczyń, do zamiatania i t. d. i t. d., ale nigdy do pilnowania owoców. To trwa przez cały okres dojrzewania — (całe wakacje), a tamte tylko 3 lub dwa tygodnie. To obejmują chłopcy wybrani, a tamte każdy „ciarach“ może wykonać. To różnica i to wielka! Czyż nie mam racji? Prawda, że tak?! No, z pewnością! Inaczej nie może być.

Może ktoś by miał pewne zastrzeżenia i niejasności, dotyczące czasu „pilnowania“. Czemu tak długo?

Dziwić-by się należało, że takich prostych spraw nie pojmuje. Przecież wielu, wielu jest takich amatorów, z „największego społeczeństwa“ tak zakładowego jako też i niezakładowego, którym niezwykle smakują zawiązki owoców. I z tej przyczyny opychają, jak tylko mogą swoje kieszenie, a następnie żołądki. Gdy sobie taki obywatel kropnie takiej zieleniny 50 do 100 sztuk, to czuje dopiero, że coś zjadł, inaczej jest niezadowolony.

Pomyśleć, że takiemu kiszek nie pokręci i nie wyśle ekspresem na tamten świat.

Gdzież tam! Po takiej dozie witamin jeszcze zielonych czuje się jak ryba w wodzie zdrów i wesół. A uczty złożone z podobnych delicji urządza sobie codziennie, lub częściej.

— — — — — — — —

Swego czasu szczęśliwy los wybrał mnie, nie chwalący się, i mego najlepszego kolegę Szymka na ten szanowny urząd. Mamy pilnować na „ alei“ — drodze, prowadzącej z Wieliczki do Zakładu. Nie gorszych od nas dano do „starego sadu“; licho chciało, że i w „nowym“ obsada była niezła. Wiwat szóstka, zatem... dobra nasza! To były czasy! Co tam było i czego nie było! Nie o wszystkim można i bezpiecznie pisać. Gdyby „Władze miarodajne“ dowiedziały się wszystkiego, toby — przypuszczam zadowolone były z takich „zuchów“, ale gdyby tylko poznały cząstkę prawdy, to wtedy ręka, noga, „rugi“ bismarkowskie, jak nie, zbieraj chłopie manatki i fora ze dwora!

Pewnej pogodnej, a ciepłej nocy siedzimy sobie z Szymkiem przy budzie i gwarzymy sobie to o tym, to o tamtym, a właściwie o niczym. Ot tak sobie.

„Pss... psyt!“ „Cóż takiego?“ „Słyszysz, cudne melodie?“ „Co takiego?“ Śni ci się — dobranoc mój Szymciu! Tu nie jasełka i aniołkowie nie śpiewają w przestworzach, a tym bardziej grają!“

Nie opowiadaj głupstw! Posłuchaj tylko! Słuchamy... Natężam słuch... Istotnie coś... gdzieś gra, czy śpiewa piano... pianissimo jakieś smętne melodie... gdzieś bardzo daleko, bo ledwo słychać. Raz ciszej, to znów głośniej. Urywa się wszystko... Znów słyszymy wyraźnie i to słowa nawet: „Śpiii... ii... ii... i... spii... ii..., luli... luli.„, lulila!!!

Słyszysz, spać nam każe. Niech to kaci. „Sza“. E, cotam, pośniemy, a jabłka nam jacy spryciarze obedrą, co?!

Przejdźmy się. Wstajemy... Błysła mi myśl... Szymek nastraszmy tamtych w „starym“

(sadzie). „Dobrze". Idziemy... Jesteśmy już blisko ich budy, a tu wrrrr. rrr. wrrrr. Cicho bądź głupi! — swego nie poznajesz — perswaduje mu szeptem. Znać zrozumiało psisko ludzką mowę i położyło znów spokojnie łeb na ziemi. Ostrożnie podsuwamy się...

Młode, silne piersi pracują miarowo: sy... su... sy... su.. sy... y.. su... u.. o.. i... Podpieraj drzwi drągiem, a sam w sam ton! Stróże!! stróże! a bogdaj was pokręciło — Stróże!!! (Umarły by się obudził na taki głos. Jak trąba archanioła, tak grzmi wśród ciszy nocnej). Stróże łapać mi złodziei — a taście łajdaki posnęli?! Jabłka nam łupią a wy nic... Łapać mi tu ich!! Pies również alarmuje.

Obudzili się... tu drzwi zamknięte... nie da rady otworzyć... budę wywrócić. W okamgnieniu stara paka robi młynka w



Pawlikowice. „Ryjom" na sienniki.

róg sadu i tam trząś pod dębem narożnym z całych sił, ja tu zostanę — rozkazuje Szymek.

Już zrobione.

W chwilę później siedzę na konarze dębu i telepię nim co krepy (sił) w garściach, przy tym krzyczę: zbieraj... szybko... spiesz się... prędzej... Szymkowi w to graj. Zaczyna swoje... Istny ogrodnik... Co za barypowietrzu i pada z głuchym jękiem na stronę.

Józek i Franek — majkut, nie patrzą, nie słuchają tylko rwią (pędzą) w róg sadu, aż ziemia dzwoni.

„Nasz pan ogrodnik" posyła za nimi: „ja wam pokażę! wy... kapiszony... armaty!!!

Słyszę, że akcja przeciwko mnie dochodzi do punktu kul-

minacyjnego i pozostać jeszcze kilka sekund na drzewie równałoby się z wzięciem porządnym w skórę, tak zbieram nogi do kupy i wio z drzewa na ziemię skok śmiertelny, a potem w pole... hasać z wiatrami i iść w zawody z najlepszymi choć by biegaczami świata... zniknąłem.

— — — — — —

Siedzę przy naszej „pace“ i podziwiam Szymka, jego pomysł i jego przebogaty słownik. Skąd ta bestia bierze to wszystko?

I on nadchodzi... ledwie nogi ciągnie. Widzę, że spazmy śmiechu nie dały mu wcześniej przyjść. Śladem tego i świadkiem spazmu to dość duże łzy na policzkach jeszcze nie wyschnięte.

Co płaczesz? Nabili cię? Aha nabili! Słyszałeś jak rwali! Przedtem budę do góry wywrócili.

Co budę wykropi... a to chłopcy raptowne, aleś im pietra napędził. Napewno chwalić się będą, że to złodzieje napadli na nich, no i ze złości budę im zdemolowali. Ogrodnik dziwił się będzie niemożliwie, gdy zauważy, że jego pupilki stronią od niego jak od ognia. Masz szczęście, żeś blisko budy nie stał, boby cię poznali. Coby mieli poznać! A ty myślisz, żem gdzie był? Właśnie szedłem do budy i krzyczałem. Oni, przestraszeni, jak wypadli z legowisk swych, to myślisz, że mieli choć czas patrzeć, poznawać, namyślać się, lecieli tuż obok mnie, a nie zauważyli, że ogrodnik nagle tak zmalał i schudł. Strach ma wielkie oczy, nie bój się.

— — — — — —

Szymek z naszymi to fraszka udać się mogło, ale z obcymi to — myślę, że tak by łatwo nie poszło.

Oj.. głowo.. ty pusta głowo... a od czego masz bary takie, że mógłbyś się na dziesięciu porwać i dać sobie z nimi radę, a takie głupstwa pleciesz. Poradzimy sobie jakoś — ty bicepsami (muskułami), a ja rozumem i wszystko fajno będzie. Grunt, rozumisz, nie przejmować się bardzo tym co było, co jest i co będzie.

W niedługi czas potem... w nocy... Słyszymy coś... Koło papierówki, przy mostku, niewyraźne, jakieś podejrzane szmery. Laski do garści i hajda płoszyć nieproszonych gości.

Ciszę nocną rozdziera nagły, donośny głos Ks. Dyrektora: „Szymek! Staszek! łapcie mi tych niegodziwców, a to będą na cudze owoce leźli... paskudniki... łapaj, dawaj mi ich tu“.

Puszczamy psa i za nimi — co pary w nogach do obrywających. Ci dęba dali w krzaki nadrzeczne. Trzask, szum młodych dek i wikliny świadczyły o wielkim strachu i pośpiechu uciekających.

Nasz Szymek — fenomen stał się nagle brzuchomówcą. Głosy z oddali — przytłumione słychać: „chwytajcie przynajmniej jednego z nich „a za wszystkich odbeczy“!.

Wypadły wyrostki na czyste pole i zmykają, aż się kurzy za nimi.

My, nie w ciemię bici, nie pokazujemy się tamtym, by nie

zobaczyli nas tylko dwóch i to takich sobie „drapichróstów“, a nie odwrócili się i nie powetowali swego strachu na nas i naszych skóreczek wdwójnasób.

Wracamy triumfatorzy...

„Co, niebezpieczeństwo minęło!“

„I jak głodko! Ty, Szymek, co u licha z tobą jest, tam ogrodnika baryton, tu bas Ks. Dyrektora i to z jego akcentem wrodzonym; to znów skądś z brzucha dobywasz głos. Poczynam cię podejrzewać o coś złego. Może w tobie diabeł siedzi, albo inne licho. Przyznaj się... Radzę ci uważać, bo gotów cię niecnota opętać, a potem, Szymuś, bida z tobą. Musieli by egzycerować — egzorcyzmować — poprawił — niech ci tam będzie i tak. Zawsze to by było dla ciebie hańbą.

„Nie opowiadaj niedorzeczności, zabita pało, już ci djabli „po głowie zaczynają chodzić. Skąd co takie podejrzenia. Że głos zmieniam i brzuchem mówię: to rzeczy naturalne, mam dar do tego i rzecz skończona. Taki zaraz to na machinacje diabelskie składa. Oj Stachu, Stachu, nie wiedziałem, żeś tak naiwny.

No, no, nie sądź mnie tak bardzo ostro i nisko.

Wiesz co?

No co?

Przychodzi mi myśl do głowy i to niemiejska. Dopiero był by kawał, gdybyś, tak zgrabnie — rozumiesz głosem i akcentem Ks. Dyrektora samego jego nastraszył. Co ty na to?

Niezła myśl. Zauważam, Stachu, że jak podterminujesz u mnie różnych pomysłów, to i z ciebie będzie jeszcze chłopak do rzeczy. A to, o czym mówisz, zrobi się przy sposobności. Na wszystko musi przyjść właściwy czas, czyli okazja.

„Słuchaj, Szymku, tylko nie podnoś ręki na niego... to ksiądz i przełożony...

E! naiwnyś, ja nie głupi. Lubię czasem twoje pomysły, ale uwag nie znoszę. Myślisz, że jestem do tego stopnia trzpiotem, że nie panuję nad sobą? Toś się grubo pomylił.

No co zrobisz? Co?

Zobaczysz! Chyba miałeś możność przekonać się o moim dowcipie aż nadto dobrze.

Ciekaw jestem co zrobisz?

„Wiem gdzie miejsce dla ciekawych. — Myśl — może co i wymyślisz, tylko, że u ciebie wszelkie pomyślenie to tak ciężkie jak i twoje ręce. Widziałem, jak kozła stawiał parobczak, którego dostałeś w swe grabie. Trza było kijem ich straszyć!

Tak kijem strasz, i kości przetrącaj, ty też masz rozum, ale do figlów, bo do poważniejszego myślenia to ciebie nie ma.

Nie bój się, jak człek — rozumiesz — podrośnie — wąsy dostanie, zrobi sobie „angielki“, czapkę na bakier, papierosa w zęby, ręce w kieszenie no i — poważnie myśleć zacznie — Co mówisz na to?

Oj bziku, ty bziku, przyjdzie i na ciebie kryska, jak na Matyska.

Nie lubię przepowiadania i przepowiadaczy przyszłości.

Stachu! Dyrekcja szedł dziś do Wieliczki, wracał będzie napewno wieczorem i to pieszo, bo konie w polu — zobaczysz, jak się nastraszy.

Ściemniało się... Cichy, a parny wieczór lipcowy okrywał skapliwie coraz bardziej ziemię. W powietrzu wyczuwać się dawały zapowiedzi burzy, lub conajmniej ulewnego deszczu.

Od strony mostku dały się słyszeć spieszne kroki Dyrektora.

Stachu Dyrekcja idzie. Idź naprzeciw niego, ukłoń się i nic, ani słówka o mnie, ja skoczę pod cmentarzyk skryć się w cień żywopłotu. Dobrze uszu naciągaj w tę stronę, to może co usłyszysz.

Szymek ledwo dosłyszeć mógł, jak Dyrekcja mówił do Staszka: Jak się masz Staszku. Nie strach ci pilnować? Uważaj dobrze — na deszcz się zanosi — może się ktoś podkraść pod jabłonie.

Nie ma obawy o to, proszę Ks. Dyrektora. Niech się tylko ośmieli, to my mu pokażemy drogę, gdzie pieprz rośnie.

Dobrze, dobrze...

Poszedł.

W niedługi czas potem, Stach usłyszał tęgi bas Dyrekcji: Stój, obwiesiu! Ja ci tu dam jabłka!!! i... cisza... grobowa aż w uszach dzwoni...

Hm... Hm... Ty! Ty, Szymek czego tak wrzeszczysz. A... to ks. Dyrektor... przepraszam bardzo... Ks. Dyrekor wybaczy.. myślałem, że to jakiś wagabunda, lub robotnik idzie niby to pod drzewami, drogą, a jabłka ściąga.

Nie gniewaj i nie przepraszaj. Na drugi raz trochę lepiej radzę ci patrzeć kto idzie, bo możesz mieć nieprzyjemności z tego powodu. Przebaczam ci... Czekaj! Skąd ty herlaczyno zdobyłeś się na taki głos: Myślałby kto, że to olbrzym, a to taki chłopaczynka. Ledwo to od ziemi odrosło.

Na teraz ci wybaczę, ale gdyby się to powtórzyło jeszcze raz to tam niezbyt. Mego głosu nie naśladuj... a tym bardziej akcentu.

— — — — — —

Zeszli się „nasi wiarusy“ razem.

Szymek, myślałem początkowo, że lanie zbierasz od Dyrekcji, lub że rzeczywiście „Dyrekcja czepioł“ kogoś na jabłoni.. i już biegłem nawet do góry, by, w razie czego, nie dopuścić do jakiego skandalu, bo to dziś i takie „łaziki“ do wszystkiego są gotowi.

Nagle słyszę znów Dyrekcję i... za chwileczkę twój właściwy głos: „przepraszam...“ Szymek, na mój prosty rozum to wszystko biorąc, zdaje mi się, żeś nieco przesadził i na zbyt gruby koncept wpadłeś. Coś mi się tu nie widzi. Obraziłeś Dyrekcję, choć udawał w końcu — śmiejącego się.

Zawsze swoje wyciągasz, tam coś w tobie siedzi, to przyjdzie kreska... to obraziłeś... Do licha, albo będziesz rozważny, albo nie. Wiem co robię. Mówiłem ci, że zawsze przytomny jestem w „akcji“!

Być może, że masz i rację, ja jej nie rozumiem. W każdym razie chłopaków straszyć i figle im płatać to ja zawsze z tobą i sekundować będę z całej duszy, bo od tego nie jestem, ale starszym... to nie... Stanowczo nie... Starszym należy się uszanowanie nawet w żartach.

W. P.

Dawno już nie pisałem w N. Ż. z wielu względów: Przejścia różne, a szczególnie wielki żal do cenzury (to „jest“. od odwalania moich wierszy) złamał moje pióro. Taki już mój los... Mogłem zostać sławnym śpiewakiem, ale za młodu każdy z moich opiekunów (a miałem ich wielu) zakładał mi tłumnik wprawdzie, nie na usta, ale w ten sposób, że mi się zawsze na płacz zbierało. Postanowiłem więc szukać sławy w poezji. I wierzcie mi... moje wiersze ociekające łzami, czerwone od nienawiści, jak kocioł w dantejskim piekle, bladą tęsknotą owiane moje wiersze, które ja sam umiałem na pamięć nie zostały wydrukowane. O, ludzka złośliwości! „I pieśń skonała, mistrz swą harmonię roztrzaskał o głazy...“

Mówiono mi, że nie jestem poetą z łaski?... Jeżeli jeszcze kiedy będę poetą, to tylko z żalu i złości, a nie żadnej łaski!

Dałem sobie słowo, że już nie napiszę nic, ale przecież poecie należy wybaczyć, nawet gdy słowa złamane. Wieszcz, to niezwykłe zjawisko. Ale dziś muszę napisać, czuję taki zapał, taką siłę, chce powiedzieć Czytelnikom, jak to u nas jest, a jak było naprawdę.

W ostatnim przedwakacyjnym n-rze w artykule „Raport“ pisałem o stadionie sportowym. Miejsce to pełne gruzów, wyboi, na którym ongiś stała cegielnia ze strachami było najbardziej stosowne na nocne harce dla złych duchów. Nie przypominam sobie nigdzie kawałka ziemi tak osobliwie zdemolowanej, jak nasze cegielnisko. To miejsce znałem tylko ja —poeta. Tam też popełniałem moje poetyckie bachory, które tak młodo zmarły, niebożęta, na redakcyjną ospę.

Pewnego ranka (właśnie pisałem dyspozycję do mej nowej tragedii p.t. „Głos jutra, czyli brak żyta w Pawlikowicach“) zobaczyłem na góreczce pana Stasińskiego. Coś grzebał łopatą. Byłem pewny, że p. Stasiński, jako dawny wychowanek pamięta, gdzie Arianie zakopali złoto i chce je wygrzebać. Mylisz się panie, panie Stasiński, jeżeli sądzisz, że cię nikt nie widzi i poeta widzi, skarby wygrzebie i książkę wyda. Na drugi dzień przyszło ich już więcej, a na trzeci jeszcze więcej, kopali, a ja nigdy nie mogłem zobaczyć nic złotego z przeszłości.

Raz znów pamiętam pisałem wiekopomne epos:

homerowski poranek zawoalowany muślinem mgły.
budził zaspane po parowach gzy.
końskie, bydlęce, owcze,
gdy ja mój epos...

W tym miejscu, jakby mię grom uderzył, nie mogłem skończyć wiersza. Jakiś świst powstał wkoło mnie, czułem, że mi muza uciekła, muza uciekła i przerażona popędziła w las w w jednej koszulinie. Wtedy to zobaczyłem moją muzę biedną, nędzną, chorowitą, z zapadnię-

tymi piersiami i pomyślałem z bólem, nie miał się już na co rzucać zły cenzor, tylko na to biedactwo?... Ale dlaczego ona tak czmychnęła?...

Zrozumiałem, gdy zobaczyłem obok siebie tego, co zabił we mnie poetę. Jego to moja muza tak bardzo się przelękła.

śliwych i godnych większego politowania.

— Tu stadion?...

— Tu!...

Nie rzekłem nic. Chwyciłem łopatę, zacząłem ryć, jak wariat. Ale myliłby się ten, kto by myślał, że w moich zamierzeniach był stadion, nie! Ryłem,



Pawlikowice. Poświęcenie nowego boiska.

Nade mną stał ks. Janowicz z łopatą, a raczej dwoma, z których jedną wręczał mi uroczyście. — Porucznику, do roboty, wołał.

Pytam, co będziemy robić.

— Stadion sportowy!

Przypatrywałem się najpierw na jego głowę przyprószoną siwizną, na oną łopatę, na apokaliptyczne doły i pomyślałem, że oprócz mnie jest jeszcze więcecej poetów bardziej nieszczęsnych

bo myślałem, że za to mój epos pójdzie do druku. Któryż poeta nie ryłby z krytykiem, szczególniej, jeśli się ma taką muzę, jaką ja miałem...

Pot lał się z czoła strugami, a wielu z nas przekonywało się z każdym dniem, że jednak nasi opiekunowie mieli nieco racji, gdy mówili: tobie tylko łopatę! a nie do szkoły! Pracowali wszyscy. Najmniejsi nawet nosili w drobnych rączętach dar-

nie, na deskach nawet z braku taczek, jak kto mógł, pracował, targał, a często po pracy w polu ciężkie oddechy starszych mieszały się z krótkimi, pospiesznymi malców i tworzyły wielką pieśń pracy ofiarnej, pracy społecznej, dla przyszłości.

Często widziałem umęczonych, gdy wracali wieczorem z placu, często słyszałem słowa: nie mogę już rękoma ruszać, dłonie mam odpieczone!...

Przyszły i żniwa, a tu jeszcze połowa boiska nie była gotowa. Wielu straciło nadzieję.

— To na drugi rok!...

Na nowo podjął pracę ks. Mgr. Wł. Janowicz z nowicjuszami. Jego pracą powstał przepiękny stadion sportowy.

W uroczystość Wszystkich SS. zebrali się na stadionie wychowankowie. Ks. Dyrektor Skrzypkowiak dokonał aktu poświęcenia w asyście Ks. Mgr. Janowicza i Ks. Pref. Ed. Tomzy.

Było to więcej, niż chwila uroczysta. Jakiś ton rzewny dźwięczał w atmosferze świątecznego popołudnia...

Jesienne, żółte liście kąpały się w złotym słońcu, w ukośnych jego promieniach śmiały się młode twarze wychowanków, wśród lekkiego szmeru jesieni słychać było wyraźnie milczącą mowę o budującej się Polsce...

A. Wójtowicz.



Pawlikowice. „Victoria“ zwycięża na nowym boisku.

Dzieje jednej podróży z Pawlikowic do Strugi

Wieść o zamierzonym wyjeździe długoletniego dyr. opery pawlikowickiej p. Romualdini-ego do Strugi rozeszła się lotem błyskawicy po Zakładzie, kładła się zakalcem żalu na dnie dusz. Deszcz padał już od tygodnia, noc prędzej zapadała, psy żałośnie wieczorami wyły, a przeciągi na kurytarzach przynosiły złowieszczy zapach kapusty. Ogólnie wróżono, że stanie się coś niezwykłego...... Podobne zjawiska towarzyszyły pamiętnemu wyjazdowi do Miejsca Piastowego nadwornego zegarmistrza ko-kotwicowego a zarazem rytualnego nierogacizno-bojo-człowieka, o niezwykle miękkim i czułym sercu.

Nadeszła ta chwila ciężka jak chmura czarna, z której leją się grube powrozy deszczu. Pan Romualdini wsiadł do środka lokomocji zaprzężonego we dwa „latawce" z kilkoma pakunkami, z których najważniejszym był podłużny z gitarą pamiątkową w środku, na której, na znak żałości za ciężki dopust Boży od... urodzenia postanowił nie grywać. Nic też dziwnego, że struny były pozawijane na szyjce a we wnętrzu zamiast duszy był zawinięty plik własnych kompozycji jedno — dwu — i więcej głosowych na... gramofon i wszelkie instrumenty korbowe...

Konie ruszyły z miejsca, a wtórował im długi okres ciszy z tej prostej przyczyny, że wszyscy byli pogrążeni w śnie. Spełniły się dziwne znaki na niebie i ziemi, a psie — czucia okazały się trafne.

WIELICZKA... poczekalnia ...peron ...Pan Romualdini jako, że człowiek rozmowny znający się na aktualnych zagadnieniach wszczął żywą rozmowę z konduktorem pociągu, który za chwilę miał ruszać do Krakowa. A że temat był nieco za długi więc świst maszyny przerywa interesującą dysputę i pociąg rusza. Konduktor żegna serdecznie rozmówcę zostawiając go na peronie, a sam wskakuje do pociągu. Za chwilę p. Romualdini informuje się o pociąg do Krakowa...

— Proszę pana, to właśnie ten pociąg odszedł do Krakowa brzmi odpowiedź.

? ! ...

Następnym pociągiem odjeżdża do Krakowa. Tutaj w poczekalni trzeba czekać 2 godziny na pociąg do Warszawy. Przez szyby widzi piękną poczekalnię I klasy. Wchodzi. Za chwilę kelner: „Co sobie szanowny Pan życzy? piwo białe, czarne ciastka?

B. Dyrektor teatru w P. świadom, że ma ponad kupno biletu tylko 50 groszy wybiera piwo czarne (z pewnością tańsze) i parę ciastek. By jednak zaoszczędzić i mniej zapłacić wypija tylko pół szklanki i jedno ciastko, resztę zostawiając.

Ile płacę?...

1.18 zł., proszę łaskawego Pana.

Czy ceny stałe? Kredytu nie ma?

Nie, proszę pana.

W sakiewce pozostało tylko 12 zł. Do kupna biletu brakuje 1.30 zł. Nikogo znajomego. Jedynie „władza“ pilnuje bezpieczeństwa publicznego.

Podchodzi nieśmiało i zagaduje: Proszę pana Komendanta, możeby mi Pan pożyczył



Pawlikowice. Nasi artylerzyści nabijają „grube Berty“.

1.30, brakuje mi bowiem do biletu na Warszawę.

Człowiek widać praktykujący cnoty i rady ewangeliczne, ratuje bliźniego w doświadczeniu życiowym...

. . . .

Warszawa... do kancelarii w Instytucie Mokotowskim wchodzi człowiek wzrostu małego, lecz o wielkiej społecznej przeszłości, dawny szczery mój przyjaciel.

Słuchaj, możebyś mi podał rozkład pociągów do Strugi — odzywa się do mnie.

Wiesz co, lepiej jak Ty sam telefonicznie porozumiesz się z panią w centrali telef. i dowiesz się szczegółowo o każdy pociąg (w Warszawie w centrali telefonicznej jest zegar automat, który, gdy się parat telefoniczny nastawi na 02, „odpowiada“ kobiecym głosem podając godzinę i minutę np.

„dziesiąta pięć. . dziesiąta sześć i t. d.).

Kręcę 02 i słyszę w słuchawce „dziesiąta dwadzieścia". Udaję rozmowę: Proszę pani, przyjechał tu jeden gość z Pawlikowic i prosi o pewne informacje w sprawie pociągów do Strugi.

Oddaję słuchawkę p. Romualdinowi.

Moje uszanowanie pani... a dziękuję pani... (uśmiech na twarzy wskazuje na miłe wrażenie). Pociąg do Strugi... teraz... a następny... następny... bardzo dziękuję... ale następny... to co minuta odchodzi?...

(My słuchając tak ożywionej rozmowy początkowo się śmiejemy, później jednak wnioskujemy, że może ktoś rzeczywiście się włączył do aparatu i rozmawia, bo niemożliwe, żeby z automatem, który powtarza stale to samo tak grzecznie i długo rozmawiać. czekamy co dalej będzie).

— Bardzo panią przepraszam, ale zdaje mi się, że my się nie rozumiemy...

To już było za dużo, z całej siły parsknęliśmy śmiechem). Długoletni aktor scen pawlikowickich spostrzegł się, że ta „znajoma" coś podejrzana. Nerwowo położył słuchawkę na widełki i śmiejąc się przez łzy powiedział: „porządnie nabraliście mnie!".

Po tym wypadku, a później po przyjacielskim wsadzeniu go do tramwaju w całkiem przeciwnym kierunku, a to wszystko gwoli życzliwości braterskiej i czułego przywiązania, miły i kochany gość na Mokotów już nie zaglądał. *Sz. Sz.*

Kącik fotograficzny

Pierwsze zdjęcie

Sztuka fotograficzna wielu ma wielbicieli i sympatyków, czego ślady na każdym kroku dadzą się napotkać. Roje fotoamatorów z filmówkami, czy też nawet z przedwojennymi aparatami uwijają się wszędzie i podpatrują (czasem tylko... trują) życie...

Nie dziwię się wcale temu, że pomagając przez dłuższy czas jednemu z tych ulubieńców fortuny, czyli miłośnikowi pięknych zdjęć (za tanie pieniądze), nabrałem wielkiej ochoty, by popróbować w tym względzie własnych zdolności. A nuż szczęście dopisze...

„Mistrz" mój wyjechał z ważną sprawą do „stołecznego" Krosna, a nadarzała się dobra okazja na zdjęcie. W lasku dębowym odległym prawie o 2 km od Zakładu pracowali całą parą już drugi i ostatni dzień: szewcy, krawcy i inni „zajęciarze" pod dowództwem doświadczonego w tym względzie „inżyniera" D. Pogoda dopisała. Widocznie św. Michał postarał się o umilenie swoim czcicielom prac przygotowawczych na główną Jego uroczystość.

Dla foto-amatora okazja wspaniała. Piękna polanka w

lesie, a na tle dębów — staruszków ruchliwa gromadka. Była już godzina przedpołudniowa, kiedy ukończyłem wreszcie wstępne prace. A najważniejsze to, że „matówka“ do starego aparatu, którym miałem dokonać *pierwszego* zdjęcia, została sfabrykowana. Pozostawało jeszcze „nabicie“ kliszy. Oczywiście — „nabić“ je tak, żeby zostały całe! W tym cała sztuka...

Wszystkich klisz miałem aż.. 2 i dwie próżne kasety. Dobra łaj skróciłem trochę drogi, opierając się natrętnym myślom.

„Napewno się nie uda! Prześwietlisz! Migawka się zatnie“!

— Strachy na Lachy — myślę sobie. Musi się udać!

Zbliżam się do lasku, szukając w nim śladu życia znajomej gromadki. Nic a nic! Aż spotykam na skraju spoczywającego obywatela.

— Ty drzemiesz, bracie, a wiecie co?

— Już kończymy. Właśnie skończyłem nosić gałęzie.



Pawlikowice. Kapliczny przed świętem ma wiele roboty.

nasza — „nabiłem“ już jedną i... drugą schowałem. Na wszelki wypadek... Nuż się nie uda, to przynajmniej jeszcze jedna klisza ocaleje. Wreszcie gotowe wszystko. Aparat z kasetą w jedną rękę, „nogi“ (aparatu oczywiście) w drugą i... w nogi...

Trzeba się było dobrze śpieszyć, bo na wszystko miałem tylko godzinę czasu. Na dwunastą mam być w domu. Ruszyłem w tempie silnym, byle zajść jak najprędzej. Na prze-

— Prowadź mię więc do głównej komendy obozu!

W kilka chwil byliśmy na miejscu. Kilkaset metrów wieńca leżało na pięknej polance, zalanej słońcem. Ostatki wykańczano, a „szef“ rzucał spoza okularów groźne spojrzenie. Po krótkim „Szczęść Boże“ i wzajemnych powitaniach aparat stał już na „nogach“. Matówka wprawdzie dawała słaby obraz, ale nastawiwszy na najwyraźniej chwytam za kasetę z

kliszą. A czas ucieka! Nie ma co — grupa już gotowa. Jedni siedzą na drzewach, inni wiją wieńce, reszta pomaga... Zakładam kliszę: próbuję z jednej i drugiej strony aparatu — napróżno! Kaseta za duża!

Trudno — trzeba zrobić co można. Że też człek zawczasu nie zbadał. Wszystko ten pośpiech! Ale tylu ludziom nie można robić zawodu. Okrywam aparat i odsłaniam kliszę. Niech będzie co chce! „Uwaga! Raz, dwa, trzy — gotowe"!...

bił 12-tą, ale dzwonka na obiad nie było. Czekali widocznie na kopiących ziemniaki. Kilku skokami znalazłem się na strychu — w pracowni. Najpierw badam pozostawioną kasetę, czy ona by się nadawała. Otwieram ją i.. czym prędzej zasuwam, bo dostrzegłem w niej coś białego. Gaszę białe światło, żeby zbadać dobrze przy czerwonym. Rzeczywiście... była klisza. Coś mi zaczynało świtać. Badam swoją kasetę — próżna!....



Pawlikowice. Walka z „listo-padem"

Wprawdzie przy otwieraniu kasety aparat przestąpił jedną nogą, ale nie tracę nadziei. Żeby tylko słońce nie dostało się przez tę szczelinę. Tymczasem zbieram manatki i z powrotem, bo zegarek pędzi jak szalony i wskazuje za 15 minut 12-tą.

Różne myśli znowu mię napadły. Udało się, czy nie? Jak nie, to co oni powiedzą, a właściwie, co ja im powiem. Zresztą... pierwsze zdjęcie.

Wróciłem na czas. Zegar wy

Wrażenie piorunujące! Więc tak? Z próżną kasetą pędziłem parę kilometrów, aby w rezultacie nabrać siebie i tamtych? Narzuciło mi się przysłowie: Co nagle, ale ugryzłem się w język...

— I co ja im teraz powiem?

— Ano: Nie udało się! — zdjęcie, za to może się uda artykuł. Jak i to zawiedzie, będę niepocieszony. Zresztą, nic straconego, a początki... zawsze trudne. *Awu.*

Zaduszki

Ciemna opończa okryła ziemię. Wiatr przycichł. Nagie kikuty drzew sterczały wyciągnięte ku mrugającym tajemniczo oczom gwiazd. Cisza...... Spokój......

Okna Zakładu ciemne. Tylko z kaplicy rozjarzonej płynie akord modlitewnych głosów. Skończyli!... Spora gromada wybiegła na podwórze. Idą spać do „tamtego domu". Każdy się spieszy. Zrywa się wiatr. Już późno. Wychodzącego Piotrusia ogarnął zimny powiew, co rzucił mu w twarz garść zeschłych liści. Rozbudzony powiódł oczyma po podwórzu, po domu, po bezlistnych drzewach. Czuł jeszcze w nozdrzach zapach palących się świec. Skręcił w lewo, do parku. Szeleszczące pod stopami liście wzbudzały w nim lęk. Szedł na palcach. Za bramą parku cmentarzyk zakładowy... Na grobach dopalały się knoty świec. Wiatr targał ogonem wieńca, co okręcał wielki cmentarny krzyż..... Kilka grobów... Groby kolegów... Tu Tadzik... Przed rokiem na Zaduszki szli razem, w jednym szeregu. A teraz?... Między nimi ta warstwa gliny... Nie!... Więcej! Bo wieczność! Powiał wiatr, targnął silniej drzewami, załkał w suchych badylach żywopłotu, pomknął ku rzeczce w olszyny, przyczaił się w wąwozie, zachichotał na drutach koło drogi... Wieczność!...

. . . .

Piotruś widzi białą smukłą brzozę, okrytą przeźroczem jasnej zieleni. Pod brzozą mogiła matki. Nie pamiętał jej dobrze... Był mały, gdy ją składano w cieniu płaczącej brzozy... Czas zatarł w nim jej słodkie rysy, zasnuł mgłą jej dobre oczy... A potem poniewierka od domu do domu, z służby na służbę, co zahartowała go na stal twardą. Oddano go do przytułku, gdy podrósł — do Zakładu. Nie miał tu wygód. Żył jak wszyscy. Wstawał o świcie, szedł spać z innymi. Nie raz wiatrem podszyte, rozlatujące się od starości, ubranko nie dawało mu dostatecznej osłony przed lodowatymi podmuchami zimowej wichury. Nie raz wyglądały szczelinami trzewiów na świat Boży śniegiem zasłany, jego zsiniałe palce... Różnie bywało. Ale co to wszystko mogło znaczyć wobec jego nieprzepartej chęci do nauki, wobec ogromnego umiłowania życia, co rozpierało mu pierś, co podnosiło mu śmiało głowę i pozwalało mu szczęśli-

wymi oczami spoglądać każdemu prosto w twarz. Umiłował to piękne życie ludzkie i chciał, by je wszyscy kochali. Wszyscy! Nie tylko ci, którym się ono uśmiecha, ale i ci, którym ono nie szczędzi kolców. A tych jest wielu!

Skończyl szkołę. Uznano go za zdolnego, posłano do gimnazjum. Teraz już ostatni rok... A potem... pójdzie w świat, jak inni. Będzie mu lepiej! zdobędzie pracę, stanowisko...

Obraz szczęścia przedstawił mu się jak piękna złuda, po którą zda się trzeba li tylko rękę wyciągnąć. Zawahal się... Pragnął szczęścia!... Ale dla wszystkich. Ma się sam nim nasycić? Zobaczył swych młodszych kolegów z Zakładu, ich życie codzienne, twarde... I oni dążyli do czegoś. Mieli swój cel. Mieli i środki... I zobaczył też nieprzejrzane gromady ich rówieśników po zaułkach miast, po płotkach wsi... To opuszczeni!... Czyż szczęście nie dla nich? Nie dla nich radość życia? Czemu?!... Nie! On musi nadmiar tej radości rozpierający mu pierś przelać tam, gdzie jej nie ma. Zostanie tu. Wśród tych murów, wśród tej setnej gromady opuszczonych, co przypływa i odpływa jak fala, by dać miejsce tym, co po nich przyjdą.

. . . .

Wszedł księżyc. Oświetlił park, aleję, ciemne budynki, cały świat. Piotruś szedł aleją ku Zakładowi. Miesiąc ciekawy przeglądał się w jego roziskrzonych oczach... Stąpał śmiało, lecz cicho, snać by nie mącić tej doskonałej harmonii przyrody. Nawet wiatr ucichł. Onieśmielony przyczaił się zapewnie gdzieś w rowie. Gdy kroki ścichły, wiatr zerwał się, zakręcił kurzawą zeschłych liści i popędził hen w pola.

KRONIKA

za miesiąc wrzesień.

Koniec sierpnia i początek września upłynął pod znakiem przygotowania do zbliżającego się roku szkolnego. W największych opałach byli kandydaci do gimnazjum, i szkoły zawodowej, na których czekał egzamin. Rok szkolny rozpoczął się 6 września nabożeństwem, w czasie którego ks. katecheta Fr. Mendyka wygłosił okolicznościowe przemówienie, poczym rozpoczęła się normalnie nauka. Korzystając z przepięknej pogody rozpoczęliśmy jesienne zbiory, to jest kopanie ziemniaków, zbieranie fasoli, zrywanie owoców i t. d.

Zajęci pracą przy zbiorach doczekaliśmy się 29 września, dnia wielkiego dla każdego wychowanka, to też każdy przypotował się jak mógł, by wyglądać „galant", jedni czyścili i prasowali pod poduszką ubranie, pożyczali krawatów modnych, szewcy zaś naprawiali obuwie i szykowali piłki dla naszej drużyny.

Gorączkowe przygotowania porwał alarm, że jakiś nieproszony gość zakradł się na strych. Zmobilizowana na prędce policja zakładowa wszczęła energiczne poszukiwania. Zapatrzeni policjanci kombinowali, jak dostać się do bandyty, czy w prost drzwiami czy też dachem. Po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że z powodu braku klucza, który „z wina", czy z winy gdzieś się zapodział, muszą wejść dachem, lub oknem z sypialni na „górnym Syjonie". Po dłuższych kombinacjach służba bezpieczeństwa dostała się do wnętrza, gdzie zamiast złodzieja zobaczono flaszki z zagadkowym płynem. Tłumaczono ich pochodzenie różnie, jed-

ni tłumaczyli, że to pozostałości po Arjanach, inni że złodzieja, ale nikt tej zagadki nie odgadł czyj był ten znakomity likier.

Samo święto patrona zakładu obchodzone było uroczyście; o godzinie 7 odprawiona została msza św., w czasie której wszyscy mieszkańcy domu przystąpili do Stołu Pańskiego. Po skończonej mszy św. wygłosił do młodzieży kazanie O. Teodor franciszkanin, który na zaproszenie zaszczycił naszą uroczystość. Po śniadaniu wszystkim wychowankom noszącym imię Michała składano serdeczne życzenia. W pośród nich szczególną sympatią cieszył się „Michaś zegarmistrz" czego objawem było częste podrzucanie go w górę. O godzinie 10 została odprawiona uroczysta suma, którą celebrował czcigodny Gość. Uroczystość zakończono akademią, na której między licznymi gośćmi była kierowniczka kursów pedagogicznych S. Dyr. H. Leśniewska.

Wraz z rozpoczynającym się październikiem odprawiane jest nabożeństwo różańcowe na które uczęszcza licznie okoliczna ludność.

Z okazji obchodzonej niedzieli misyjnej koło Eucharystyczne urządziło akademię w raz z przedstawieniem p. t. „Serca czarnych". Na zaproszenie akcji katolickiej w Wieliczce orkiestra zakładowa uczestniczyła w uroczystej akademii ku czci Chrystusa Króla wykonując kilka utworów muzycznych.

Po powrocie orkiestry zostały rozegrane zawody w piłkę nożną pomiędzy Victorią, a reprezentacją okolicznych wsi z wynikiem 6:2 dla Victorii.

W dniu Wszystkich Świętych odbyła się wspólna fotografia, w czasie której zdarzył się wypadek powodujący wesoły nastrój. Powodem tego było rusztowanie złożone ze stołów i ławek. W chwili gdy wszyscy zrobili słodkie miny, czekając w wielkim napięciu na słowa — uwaga raz., dwa, w tej chwili wywróciła się ławka skutkiem czego cały ciężar spadł na stół powodując połamanie stołu. Ogólna opinia orzekła, że sprawcą złamania stołu był dziadek zwany „komisarzem" na co on żadną miarą nie chciał się zgodzić. Mimo tej przeszkody zdjęcie doszło do skutku. Po obiedzie dokonane zostało poświęcenie boiska przez ks. dyr. Skrzypkowiaka, a twórca boiska ks. Magister zrobił zdjęcie. Na zakończenie uroczystości został rozegrany mecz rewanżowy z wynikiem 4:3. Wieczorem zostały odprawione nieszpory żałobne, po których udaliśmy się z procesją na miejscowy cmentarz, gdzie odmówiono liturgiczne modły.

WYKAZ OFIAR

złożonych na Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Zł.: Ks. Prob. Parafii Czemierniki 2.—; W. P. Lamers Antoni Kraków 5.—; WP. Albinowska Katarzyna — Kraków 5.—; WP. Kowerski Stefan z Józwowa 2.—; WP. Inż Kuczewski Władysław. Świętochłow. 4.—; WP. Janicki z Mysłowic 3.—; WP. Kwieciński Kazimierz Warszawa 2.—; WP. Szydłowski Antoni Konstantynów 4.50 WP. Kozłowska Henryka z Gdyni 1.— WP. Mańka Wincenty z Rybnika 5.—; WP. Otmar Schreyer z Busko-zdrój 5.—; WP. Pułk. Pietruszka Stanisław Kraków 1.—; WP. Dobrowolski Ignacy Kraków 2.80—; WP. Siemiński Jan Kraków 5.—; WP. Lamers Antoni Kraków 5.—; WP. Stołyhwo Kazimierz Kraków 1.—; WP. Dr Szołayski Alfred Kraków 5.— WP. Mieczysław Kraków 1.—; WP. Lukasik Ignacy z Brodnicy —.50; WP. Tarliński z Woli-Justowskiej 2.—; WP. Dr Zabłoccy z Krakowa 5.—; WP. Florkiewicz F. z Krakowa 5.—; WP. Aniela Snuska z Kartuz 1.—; WP. S. Kupniewski z Janowic 1.—; WP. Hrabia Tadeusz Morstin Strzelewo 100.—; WP. Gabryszewski Stanisław z Warszawy 2.—; WP. Dr J. Szymanowski Kraków 5.—; P.T. Uniwersytet Jagielloński Kr. 10.—; WP. Janicki z Mysłowic 3.—; WP. Maria Sierotkówna z Białej 3.—; WP. Hortwig Wilhelm z Lubycza 1.—; WP. Zajączkowska Jadwiga Przew. 5.—; WP. Inż. Wasilewicz z Krakowa 2.—; WP. Stojewski A. z Warszawy 3.—; WP. Mikoluk Bron. z Mielnicy 4.—; WP. Manka Wincenty z Rybnika 5.—;

WP. Czajkowski z Bydgoszczy 2.—; WP. Stanisław Wolski z Lubawy 1.—; WP. Konieczny z Jabłonowa 2.—; WP. Pompa E. z Krakowa 2.—; WP. Inż. Antoni Schimitzek Kraków 2.—; WP. Mgr. Prof. Zieliński Kaz. Pawlikowice 5.—; WP. Antoni Bator z K.O. Pogranicza 5.—; P.T. „Samopomoc" Kraków 1.—; WP. Borzyszkowski Jan Koronowo 1.—; WP. Schoenowa Henrykowa z Krakowa 3.—; WP. Dr Jan Z. Robel z Krakowa 3.—; WP. Spiss Ludwik z Krakowa 3.—; P.T. Pozn. Warsz. T. Ub. Oddz. Kraków 1.—; WP. Inż. I. Stella-Sawicki Kraków 5.—; WP. Boryńska Wiktoria z Krakowa 3.—; WP. Inż. Sagański Stefan z Krakowa 15.—; JWP. Książę Radziwiłł Konstanty Jadwisin Dobra Zegrze 15.—; WP. Uzarek Zygmunt Warszawa 3.—; P.T. Państw. Nad-ctwo Lutówko 3.40; WP. Otmar Schreyer Busko-Zdrój 5.—; WP. Grott Andrzej Warszawa 1.—; WP. Generał Karaś Franc. Stołowicze 5.—; WP. Krill Jan z Krakowa 1.—; WP. S. P. z Krakowa 10.—; WP. Wannow Henryk z Annowa 10.—; PT. Urząd Celny I-kl z Krakowa 5.60; Ks. Prob. Edw. Adamczyk z Moszczenicy 3.—; WP. T. Studnicki z Krakowa 1.—; WP. Marian Walter z Krakowa 5.—; WP. Mucha Stanisław i inni Czort. 35.60; Ks. Prob. A. Mietliński z Dankowa 5.—; Ks. Prob. Masny Jan z Krakowa 5.—; Ks. Prob. Stan. Gruszka z Nieznamier. 11.—; Ks. Prob. Jan Bronowicz Grabowo k/Ł. 2.—; Ks. Prob. Tyrakowski Mąkowarsko 3.—; Ks. Prob. Łopaczewski z Konar 3.—; Ks. Prob. Jan Węglicki z Ćmielowa 1.—; Ks. Prob. W. Jankowski z Kurzeńca 5.—; WP. Inż. Emil Dobosz z Krakowa 5.—; P. T. Inspektorat Straży Gran. Kościana 1.50; WP. Uzarek Zygmunt z Warszawy 5.—; WP. Otmar Schreyer Busko-Zdrój 5.—; WP. Gmachowski Stanisław Warsz. 5.—; WP. Malinowski Antoni Gdynia 3.20; WP. Skarżyński Józef z Gdyni 3.—; WP. Lamers Antoni z Krakowa 5.—; WP. Dziedziniewicz K. Kraków 5.—; WP. Naporowa Józefa Kraków 1.—; WP. Zajączkowska Jadwiga Przew. 5.—; WP. Spiss Ludwik Kraków 10.—; WP. Miączyński Wojciech Kraków 5.—; Ks. Prob. Okulicki Walenty z Nienasz. 10.—; WP. Janicki z Mysłowic 3.—; WP. Dr (Powiat. Drzoł Roman K-na 1.50; WP. Filiński Kościerzyna 3.—; WP. Świtalski Stefan Płock 5.—; WP. Dr Poźniak Stanisław Kraków 2.—; WP. Mucha z Czortkowa 9.—; WP. K. Suchankówna z Igołomii 5.—; Kl. Borkowski Paweł Pawlikowice 20.—; WP. Inż. Ronka Eugeniusz Kraków 2.—; P. T. Rada Notarialna Kraków 5.—; WP. Soewy Rudolf z Krakowa 1.—; WP. Deja Józef z Makowa Podhal. 10.—; WP. Rogalska A. z Krakowa 1.—; WP. Prof. Dr Piotrowicz Ludw. Kraków 2.—; WP. Tekla Reiska z Krakowa 2.—; Ks. Prob. A. Mietliński z Dankowa 5.—; WP. Hryniewicki Ant. z Gdyni 1.—; WP. Adw. Dr Rozmarynowicz Bol. Kraków 1.—.

Wykaz ofiar z Ameryki

Rev. Bartłomiej Sławiński. West-Rutland, Vermont (dol. 10) zł. 52.80; Rev. Franciszek Duda Berea, O. (dol. 25) zł. 131.94; Rev. A. Gonet Lyndora Pa.-Butler Co 36.13; Rev. Franciszek Duda Berea, O. (dol. 1) zł. 5.27.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowicie wynagrodzi w tym i przyszłym życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przezacnych Dobrodziejach.

KS. FELIKS SKRZYPKOWIAK
Dyrektor Zakładu

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materiały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2.20, kwartalnie 60 gr.
Cena pojedynczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P.K.O. w Krakowie na konto Nr 404.854.

ZŁOTE MYŚLI ks. Br. Markiewicza

Nie tajne towarzystwa, nie spiski, nie dyplomacja, nie demonstracje, nie wojska milionowe, nie autorowie pogańscy postawią Polskę na nogi, ale wychowanie i szkoły urządzone na zasadach Bożych niewzruszonych, na skale, a nie na piasku chwiejnym. Cała siła nasza ma być z wewnątrz.

TREŚĆ NUMERU:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ